

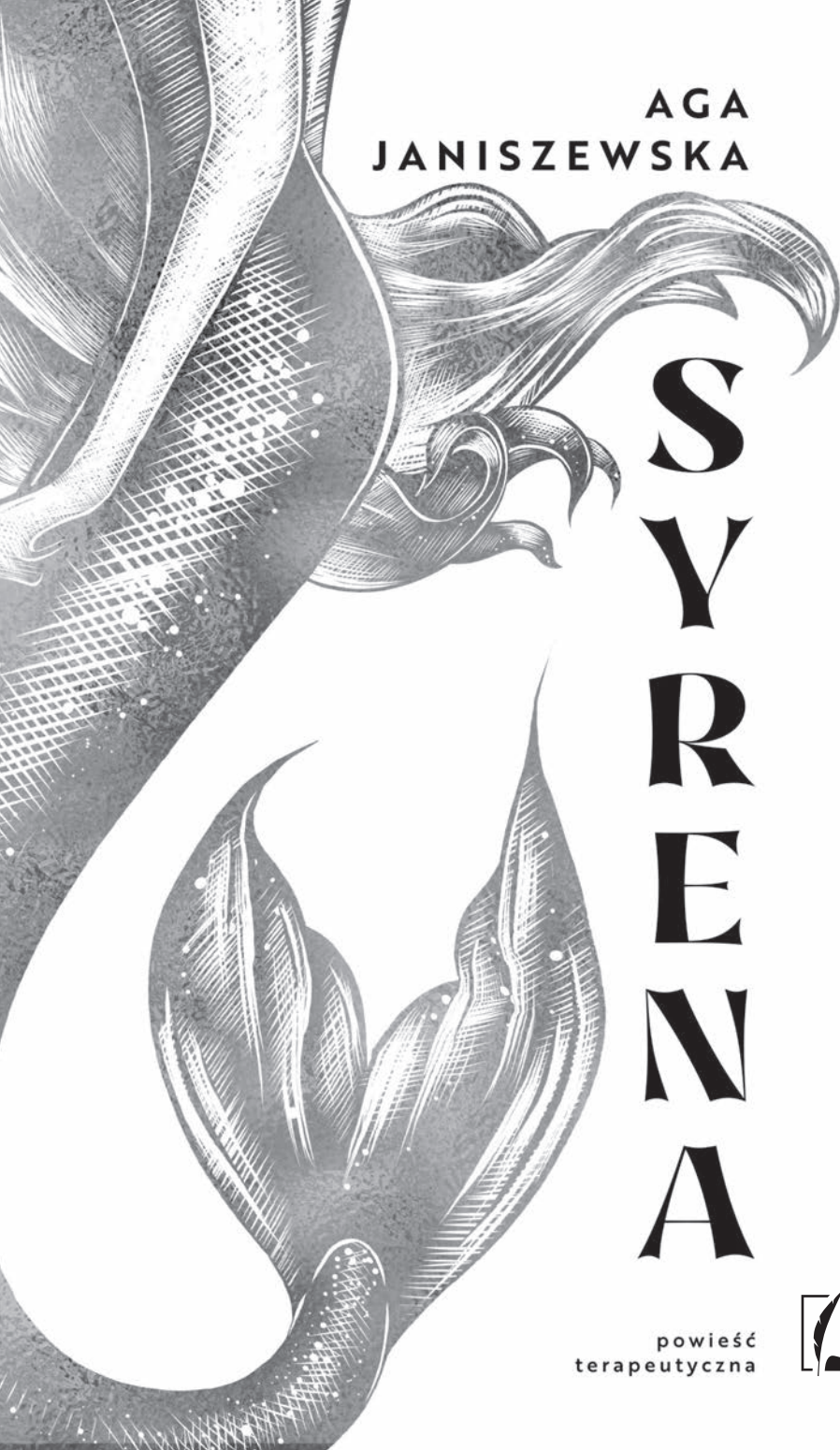
The book cover features a dark teal background with stylized, wavy white lines representing water. On the left, there is a large, detailed illustration of a mermaid's tail and a hand. The mermaid's tail is rendered in a lighter teal color with fine cross-hatching for texture. A hand, also in a lighter teal, is shown reaching out from the tail. The overall style is artistic and evocative.

AGA
JANISZEWSKA

S
Y
R
E
N
A

powieść
terapeutyczna





AGA
JANISZEWSKA

S Y R E N A

powieść
terapeutyczna



Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania
Korekta: Beata Wójcik
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Ilustracje na okładce: © Nucharin; © AkimD / Stock.Adobe.com
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2025 by Agnieszka Janiszewska

Copyright © 2025, Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2025
ISBN 978-83-8371-661-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Prolog

– Ty żyjesz! – wykrzyknęła ile sił w płucach. – Słyszysz mnie?! Żyjesz, rozumiesz to?! – krzyczała, a żeby dodatkowo zwrócić na siebie uwagę, machała rękami, rozbryzgując dookoła białą morską pianę. – Rusz się, błagam! Możesz to zrobić! Spróbuj się chociaż poruszyć! – nawoływała coraz bardziej desperacko.

Chciałaby móc nią szarpnąć, zmusić do podniesienia się z ziemi. Do otrzepania z piachu i rozejrzenia dookoła. Ale nie mogła, bo topielica leżała na brzegu. Dzieliła je więc mielizna pełna skał, wokół których dryfowało mnóstwo gałęzi połamanych drzew – jakby dopiero co przeszła tędy jakaś agresywna wichura. I może to prawda, bo powietrze było ostre, chłodne, posztormowe. Gdyby więc dziewczyna zdecydowała się wziąć choćby jeden głębszy wdech, prawdopodobnie od razu by ją orzeźwiło i nabrałaby sił, by się podnieść.

Ale nie decydowała się – leżała na ziemi niczym bezwolna, wyrzucona przez fale meduza. Jej ręce wydawały się splecione, a nogi były podkurczone – bardzo blade i podrapane do krwi. Miała na sobie jasną, chociaż mocno ubłoczoną, a do tego podartą sukienkę. Długie, mokre włosy miały

kasztanowy odcień i były okropnie potargane – z powpłatywanymi kawałkami glonów, zbrązowiałych sosnowych igieł, połamanych muszli i przegniłych, butwiejących liści. Oczy były zamknięte, a usta lekko rozchylone. Wyraz twarzy wydawał się zupełnie zrezygnowany.

Zupełnie zrezygnowany. Jak u kogoś, kto poddał się w jakiejś bardzo istotnej dla siebie sprawie.

A jednak dziewczyna żyła – tym razem żyła. Alicja już wielokrotnie widywała ją martwą, wyglądała wtedy niemal identycznie jak teraz, poza tym, że jej twarz była całkowicie martwa, czyli o jeden krok dalej niż „zupełnie zrezygnowana”. Teraz jednak coś w jej twarzy, a właściwie w całym ciele, wydawało się sygnalizować, że nadal tli się w niej życie. Oddychała wprawdzie bardzo słabo, ale oddychała.

Niczym kot Schrödingera – dziewczyna była raz żywa, a innym razem martwa.

Alicja nie wiedziała, dlaczego tak jest, a nade wszystko nie wiedziała, dlaczego musi ciągle powracać do tego miejsca i uczestniczyć w tej makabrycznej scenie. Może Schrödinger, który – jak podaje Wikipedia – dostał Nagrodę Nobla z fizyki, wyjaśniłby jej coś w tej kwestii.

Tak jak w kwestii ciągle frapującego badaczy zjawiska, które udało mu się zaobserwować.

Kot Schrödingera – Wikipedia, wolna encyklopedia

Po upływie czasu rozpadu połowicznego charakterystycznego dla danego atomu istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że kot jest martwy, i takie samo prawdopodobieństwo, że jest nadal żywy. Tak sugerowałby tzw. zdrowy rozsądek. [...]

Z opisu kwantowo-mechanicznego wynika jednak coś innego – przed otwarciem pojemnika kot jest jednocześnie i martwy, i żywy.

Jako obiekt kwantowy znajduje się on równocześnie w każdym z możliwych stanów [...].

Zgodnie z regułami tzw. interpretacji kopenhaskiej, do momentu przeprowadzenia pomiaru, tzn. stwierdzenia, co dzieje się z kotem, jego stan jest fundamentalnie nieokreślony – kot jest jednocześnie żywy i martwy. Fizycy mówią o superponowanym stanie żywego i martwego kota. Dopiero pomiar rozstrzygnie jego losy. [...]

Eksperyment kłóci się ze zdrowym rozsądkiem, co wynika z faktu, że jest niemożliwy do przeprowadzenia w świecie makroskopowym*.

Tutaj było całkiem podobnie – tzw. zdrowy rozsądek na niewiele się zdawał, do tego jeszcze Alicja nie dysponowała interpretacją kopenhaską ani żadną inną, która pomogłaby jej zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. A przydałby się bardzo jakiś oficjalny dokument, który uspokoiłby ją, że ktoś ma nad tą sprawą kontrolę – że została wyjaśniona przez ekspertów i bezpiecznie zaklasyfikowana do jakiejś oficjalnej międzynarodowej szufladki.

Ale przede wszystkim chciałaby móc się z tego miejsca wydostać. Wydostać się do świata makroskopowego, gdzie działa tzw. zdrowy rozsądek. Gdzie nie musiałyby więcej zdzierać sobie gardła, próbując dobudzić nieszczęsną topielicę.

– Obudź się!!! – wykrzyknęła raz jeszcze, sama będąc na skraju wyczerpania.

Na skraju zupełnego zrezygnowania. Wyciągała znów dłonie ku dziewczynie, machała rękami, a nawet rzucała w jej kierunku drobne muszle i kawałki gałązek, mając nadzieję, że może hałas rozbryzgiwanej wody sprawi, że tamta się ocknie.

* https://pl.wikipedia.org/wiki/Kot_Schr%C3%B6dingera (dostęp: 9.03.2020).

– Błagam cię! Ty żyjesz! Jesteś żywa! Po prostu otwórz oczy, to wreszcie mnie zobaczysz!!!

Wykrzykiwała raz po raz, bo ciągle tliła się w niej nadzieja, że się uda – że dziewczyna otworzy oczy i wstanie, choć liczba nieudanych eksperymentów sugerowała, by zaniechać dalszych prób – tzw. zdrowy rozsądek wskazywał zdecydowanie, żeby dać sobie spokój.

Ale nie, ona ciągle wierzyła, że za którymś razem topielica zaczerpnie powietrza, poruszy przykurczonymi członkami, otworzy oczy i może nawet oprze się na zdrętwiałych ramionach. Rozejrzy się dookoła, chcąc się zorientować, gdzie jest. I wtedy ją zobaczy – wtedy musi ją zobaczyć. Tylko tyle – było to jedynym, ostatecznym celem wszystkiego, co się tutaj działo. Aby dziewczyna obudziła się i na nią spojrzała – a zaraz potem ta posztormowa plaża i skalisty brzeg mogłyby na zawsze zniknąć.

Ale niestety scena zniknęła wcześniej, kto wie – może dosłownie ułamek sekundy za wcześniej! I kończyło się na tym, że dziewczyna żyła, ale o tym nie wiedziała.

A to jest chyba najstraszniejsze ze wszystkiego – żyć, ale o tym nie wiedzieć.

Rozdział 1

– Wyglądasz, jakbyś była nieśmiertelna – stwierdził Damian.

Powiedział to ot tak, po prostu, jakby mówił, że torebka pasuje jej do butów. Albo że ma ładne oczy – tylko że „ładne” byłoby zbyt mizernym określeniem na to, jakie faktycznie były. Ciemnozielone źrenice w ostro pomarańczowe kropki. Pomarańczowe albo raczej ogniste – ognistozłociste drobin-ki mieniające się na ciemnozielonym tle. Jakby jej źrenice też miały swoje piegi – tak jak szyja i twarz.

Na pewno było to dość nietypowe połączenie – coś jak kawałeczki ognia na tafli lodowato zimnej morskiej wody. Coś, co nie miało prawa zaistnieć w naturze, a jednak z jakiegoś powodu istniało. I to z bardzo ważnego powodu – bo wszystko, co istnieje we wszechświecie, musi chyba mieć ku temu jakiś Bardzo Ważny Powód.

Alicja zmrużyła oczy, bo chwilami kontrast świata był nie do wytrzymania. Ognistozłociste drobin-ki odbijały się od stalowosrebrzystych kuleczek, które sypały się z nieba. A dokładniej: z księżycy – bo pyzatemu i roześmianemu dziś księżycowi musiał zerwać się sznur jakichś błyszczących koralików. I teraz ich całe naręcza staczały się po sosnowych

gałęziach, hebanowej korze drzew, a wreszcie między stopy
siedzących w kręgu harcerzy.

Którzy śpiewali w kręgu:

*Ogniska już dogasa blask,
Braterski splećmy krąg.
W wieczornej ciszy, w świetle gwiazd
Ostatni uścisk rąk.*

*Kto raz przyjaźni poznał moc,
Nie będzie trwonіл słów.
Przy innym ogniu, w inną noc
Do zobaczenia znów.*

*Nie zgaśnie tej przyjaźni żar,
Co połączyła nas.
Nie pozwolimy, by ją stał
Nieubłagany czas.*

Kiedy Damian – ich drużynowy o jasnej, gęstej czupry-
nie i szerokim, przyjacielskim uśmiechu – przestał grać na
gitarze, słowa piosenki również ustały. Odleciały gdzieś
w górę, jak gdyby zwabione sypiącymi się stamtąd błyskot-
kami. Wszędzie było ich pełno, z każdą chwilą coraz więcej
i więcej.

I bardzo ładnie wyglądały – choć „ładnie” było tutaj raczej
mizernym określeniem.

Mizernym tak jak kolor zgniłozielonych i niezdolnych do
prasowania mundurków, które nosili harcerze – już nie te-
raz, ale podczas porannego apelu i śniadania. Potem każ-
dy wkładał, co chciał; Alicja miała na sobie czarne legginsy
i jasnoróżową polarową bluzę. Zresztą po porannym deszczu

jej mundurek był totalnie przemoczony. To już była gruba przesada: zgniłozielony, a do tego mokry.

W ogóle ten dzień od początku był gęstoszary i deszczowy, wieczór natomiast stanowił miłą niespodziankę – tuż po siedemnastej zrobiło się nagle zupełnie przejrzyste i jasno. A potem z każdą godziną było jaśniej i jaśniej. Całkiem wbrew temu, czego można by się spodziewać po naturalnym cyklu dobowym. Ciekawe, co sprawiło, że zrezygnowany, szaro-mokry dzień u schyłku życia otrząsnął się, przeciągnął i zrzucił z siebie kłębiaste, ciężkie od wilgoci chmury. Że też jeszcze chciało mu się wstawać i otwierać oczy!

A nawet teraz, gdy różowo-pomarańczowe słońce zanurkowało już za horyzont, w lesie nadal było całkiem jasno – od stalowosrebrzystych koralików, deszczu sierpniowych meteorów oraz buchającego obozowego ogniska. No i od świetlików, które tu i ówdzie pojawiały się i migotały między gałęziami drzew.

Świetliki są niesamowite. Niesamowite jest to, że świecą tak same z siebie, od niczego się nie odbijając. Musi być jakiś Bardzo Ważny Powód tego, że istnieją.

Powód tego, że świecą – że mają zdolność bioluminescencji. Która – jak Alicja sprawdziła w Wikipedii – jest jednym z mechanizmów odpowiadających za świecenie organizmów żywych. Bo u ryb na przykład za świecenie odpowiada nie bioluminescencja, ale biofluorescencja, która daje rozpoznającym ją rybam możliwość komunikacji.

Niewykluczone, że to samo dotyczy także ludzi – że świecenie umożliwia im komunikację. I to nawet wtedy, gdy włożą harcerskie mundurki, bo skoro światło widać pod wodą, to chyba jest też ono w stanie przebić się przez zwykły zgniłozielony materiał.

Damian miał na sobie mundurek, a jednak musiał świecić całkiem mocno, bo Alicja nie była w stanie przestać co rusz

na niego zerkać. On zresztą też prawie nie odrywał od niej wzroku – a z jego komplementu wynikałoby, że mu się podoba.

Nieśmiertelność generalnie jest chyba pozytywną cechą. Jeżeli oczywiście lubi się życie – lubi się wstawać, otwierać oczy i patrzeć na ten nieznośny kontrast świata.

A to, że mu się podobała, nie było zresztą niczym dziwnym. Oprócz ładnych oczu Alicja była smukła i miała zgrabną sylwetkę – no i do tego te włosy. Gęste, sięgające pasa, w kolorze lejącej się miedzi. Choć oczywiście nie wszyscy uwielbiają rudy kolor, a historycznie jest to wręcz rzadkie. Kiedyś długie włosy – zwłaszcza rude – stanowiły ważne kryterium kwalifikacji do procesu o czary. Proces o czary, jak twierdzi Wikipedia, to inaczej polowanie na czarownice. Czyli proces karny, w którym oskarżonej – bo zazwyczaj płci żeńskiej, a do tego właśnie rudowłosej – stawiano zarzut uprawiania magii. Wśród najczęściej stawianych zarzutów pojawiały się: „Oddawanie czci diabłu lub paktowanie z diabłem, latanie na miotłach, gromadzenie się na sabatach, spółkowanie z inkubami lub sukkubami, kanibalizm (w tym wobec dzieci), sprowadzanie chorób, opętań, śmierci, impotencji, niepłodności ludzi i zwierząt, profanacja mszy lub hostii konsekrowanej, spowodowanie gradobicia, zniszczenie plonów, kradzież”^{*}.

Na szczęście jednak już kilka wieków później system zmodyfikowano i długie rude włosy – czy też długie włosy same w sobie – przestały być głównym tropem we wspomnianych wyżej sprawach. Alicja mogłaby więc bezkarnie paktować z diabłem, a nikt nie miałby do niej cienia pretensji – ale nie oznaczało to jeszcze, że rude włosy automatycznie zyskały popularność. Nawet w naturze nie są zbyt powszechne,

^{*} https://pl.wikipedia.org/wiki/Proces_o_czary (dostęp: 17.03.2021).

bo jak twierdzi Wikipedia, występują zaledwie u jednego do dwóch procent populacji świata. Za czym idzie niezadowolenie i nieufność reszty: całej nierudej reszty populacji. Rudowłosi przez wieki uważani byli za osoby złośliwe, niemoralne, o niepokonywanym, ognistym temperamentem. Z tych między innymi powodów w starożytnym Egipcie grzebano ich żywcem w ramach ofiary dla Ozyrysa – czego średniowiecznym odpowiednikiem była próba wody, praktykowana przez zachodnioeuropejskich chrześcijan.

Gdyby zaprosić do dyskusji tzw. zdrowy rozsądek, pewnie uznałby on, że liczy się efekt.

Exitus acta probat – cel uświęca środki.

W każdym razie wydaje się, że rude włosy mają dużo wspólnego z tematem wody albo ognia – w zależności od kręgu kulturowego. Albo obu tych żywiołów naraz, kiedy to po udanej próbie wody (wypłynięcie oskarżonej jako dowód w sprawie) dochodzi do spalenia na stosie. Tak na wszelki wypadek – gdyby jeszcze tliło się w niej życie. Gdyby jednak żyła, ale o tym nie wiedziała.

A to jest przecież chyba najstraszniejsze ze wszystkiego.

* * *

– Tego nie da się stwierdzić, dopóki nie umrę. – Roześmiała się.

Było to po dłuższej chwili, kiedy reszta grupy wróciła już do namiotów, a oni udali się nad brzeg niewielkiego leśnego jeziora, blisko którego znajdował się ich obóz.

– Nie umieraj! – poprosił.

Poprosił ot tak, po prostu, jak prosi się, żeby ktoś nie obskubywał kruszonki od świeżo upieczonego ciasta albo nie włączał telewizji przy obiedzie.

– Postaram się.

Znów się roześmiała. Lekko i swobodnie – tak jakby śmierć rzeczywiście nie istniała albo jakby była czymś błahym i nieważnym. Niczym okrucieństwo zjedzonej wczoraj szarlotki czy też powtórka teleturnieju na Dwójce.

A Damian mówił dalej – jego słowa tańczyły w powietrzu niczym piórka. Może zresztą były to piórka, które łapał i przerabiał na słowa. Piórka z anielskich skrzydeł rozbieganych nad horyzontem dzieci – spoconych i rozgrzanych od zabawy w berka, umorusanych od tarzania się w kłębiastych szarych chmurach. Słowa były lekkie, miękkie i przechodziły w spocone, rozgrzane pocałunki, coraz szybsze i szybsze, jakby bały się tego, że będzie za późno – zrobi się znów siedemnasta i nie będzie sensu wstawać i otwierać oczu.

Damian wziął Alicję za rękę i delikatnie pogłaskał ją po dłoni. Po wierzchu, a potem po spodzie. Po nadgarstku i przedramieniu.

Po lewym przedramieniu.

– Co to?! – pytał nagle odmienionym tonem.

Ponieważ zauważył bliznę. Oczywiście musiał zauważyć tę cholerną bliznę!

– Nie wiem – odparła, z westchnieniem odsuwając się od niego.

– Jak to... nie wiesz? – pytał dalej, przerażony wpatrując się w jej skórę.

Przez tę stalowosrebrzystą jasność dookoła blizna była doskonale widoczna.

– Nie wiem – powtórzyła z niechęcią.

I to przecież zgodnie z prawdą – bo rzeczywiście nie wiedziała, skąd wzięła się blizna. Podłużna czerwona rysa, która zaczynała się przy łokciu, biegła wzdłuż wewnętrznej strony ręki i rozgałęziała się tuż przed nadgarstkiem, na trzy odnogi: wklęsło-wypukłe, zakończone czymś w rodzaju strzałek.

Alicja robiła, co mogła, żeby ją ukryć – latem nosiła bluzki z długim rękawem, jeśli tylko było to możliwe: dopóki nie zaczynała się w nich roztopiać, a pytania o to, dlaczego jest ciepło ubrana w taki upał, stawały się nie mniej uciążliwe niż pytania o bliznę.

Bo tak – każdego lata, gdy tylko owocowały drzewa, zaczynały się pytania o bliznę. Pytania, których nienawidziła, bo nie znała na nie odpowiedzi. A takie są przecież najgorsze. Można nawet przestać przez nie spać albo najzupełniej odwrotnie: zacząć spać cały czas, byle tylko nie musieć szukać odpowiedzi.

Ogólnie jednak trudno byłoby mieć do kogokolwiek pretensje o to, że pyta o tajemniczy ślad – raczej dziwne byłoby nie zapytać o niego, gdy się go zauważyło, a nie dało się przecież nie zauważyć. Dostrzeżenie blizny i niezapytanie o nią byłoby wręcz niestosowne – bo nad takimi bliznami nie powinno się chyba przechodzić do porządku dziennego, jak nad nieznanego pochodzenia siniakami przebiegających się przed WF-em uczniów. A w tym przypadku również można było odnieść wrażenie, że ktoś chciał wyrządzić Alicji krzywdę, okrutnie szlachtując jej skórę, co pozostawiło na jej ciele ten makabryczny znak.

Historycznie działało się to zresztą w różnych kręgach kulturowych. Na przykład na ciałach kobiet podejrzanych o czarzy szukano tak zwanego diabelskiego znamienia, co wiązało się z bolesnym nakłuwaniem skóry.

Exitus acta probat.

Dlatego Alicja niebezpiecznie bała się pokazywać znamię na ręce – bo nigdy nie było wiadomo, czego szuka ten, kto o nie pyta. Ostatecznie przecież każdy czegoś szuka – różnych rzeczy, choć zwykle cząstek siebie rozrzuconych w kosmosie.

Co bywa męczące, tak jak podnoszenie ziarenek maku rozsypanych po podłodze – z których jedno potoczyły się pod dywan, a inne wpadły za szczelinę w listwie, dlatego niełatwo je wszystkie namierzyć i zebrać. Wobec tego wielu ludzi się poddaje, a ich spojrzenia się zmieniają – oczy gasną i stają się coraz bardziej matowe. Jakby świece, jedna po drugiej, przechodziły w ogarki, a potem całkowicie przygasały.

„Panu Bogu świeczka, a diabłu ogarek”.

I gdy robi się już całkiem ciemno, ludzie ci zaczynają po omacku szukać się nawzajem – nawołują się, gromadzą, a potem wyruszają.

I zaczynają polować.

W każdym razie bardzo dziwne było to, że ani Alicja, ani nikt z jej rodziny nie wiedział, skąd wzięła się ta blizna. Nawet mama – co było najdziwniejsze ze wszystkiego. Nie wiedziała albo nie mówiła – nigdy nie chciała na ten temat rozmawiać. Denerwowała się, gdy Ala albo tata go poruszali, tak bardzo, że prawie zaczynała się trząść.

Oczywiście mogła ją drażnić myśl, że coś tak bolesnego jak cięcie ręki nożem (lub innym ostrym narzędziem) spotkało jej córkę. Byłoby jednak bardziej zrozumiałe, gdyby chciała poznać genezę rany – czy faktycznie ktoś przeciął ciało Alicji nożem, a jeśli tak, to kto, kiedy i z jakiego powodu. Ale nie: mamy to nie interesowało, czuła jedynie irytację.

Gdyby choć raz sama z siebie spytała Alicję, czy ręka jej nie boli (a nieraz bolała!) lub delikatna skóra nie szczypie na basenie (a szczypała!). Ona jednak uparcie unikała tematu – zniknęła z pomieszczenia lub od razu uciniała wątek. Nigdy nawet nie udzieliła odpowiedzi na pytanie, czy blizna istniała od dnia narodzin Ali, czy pojawiła się w jakimś późniejszym czasie. Jak to możliwe, żeby matka przeoczyła coś takiego? Jak to się stało, że nie mogła choćby w przybliżeniu

podać roku ani okoliczności, kiedy pierwszy raz zauważyła makabryczne znamię na przedramieniu córki?

Pytanie jej o to nie przynosiło żadnych efektów. („Czy wy nie możecie się czymś pożytecznym zająć, tylko głupoty jakieś wynajdywać? Przecież każdy ma jakieś znaki szczególnie na ciele, nawet w dowodzie to kiedyś podawali! Czemu to się do pieprzyka pod łopatką dziadka nie przyczepiliście nigdy?! A może haluksy cioci Mirki was interesują?!”). Denerwowali się tylko wszyscy, a w sprawie blizny dalej nic się nie wyjaśniało.

– Ale... ale Ala... co to za rana... skąd to masz? – zapytał po raz kolejny chłopak, ewidentnie wstrząśnięty.

– No nie wiem... – odparła głucho.

Głucho i bardzo smutno, bo wszystkie cholerne ziarenka gdzieś się rozsypały, a ona nie miała już siły ich zbierać.

A przecież sama była wstrząśnięta. I to każdego ranka, kiedy zauważała bliznę, a zauważała ją codziennie zupełnie od nowa. Codziennie była wstrząśnięta tak samo jak Damian i nic nie dało się z tym zrobić.

Tak jakby zasada, że czas leczy rany, nie objęła tej jednej sytuacji – jakby zapomniała akurat o wewnętrznej stronie przedramienia Alicji. Wiadomo: jest całe mnóstwo ran do leczenia na świecie, mogą więc zdarzyć się jakieś niedopatrzienia.

Jej blizna wprawdzie nie krwawiła, ale bolała i zawsze była tak samo czerwona i głęboka. Zawsze tak samo.

– Ale jak to nie wiesz? – Damian zmarszczył brwi ze zdziwienia.

– Dużo osób ma jakieś znaki szczególne, nawet w dowodzie była kiedyś na to rubryka. – Wzruszyła ramionami, pragnąc zmienić niewygodny temat.

Niewygodny przede wszystkim dla mamy.

– Hmm... No pewnie, ale... czy to nie boli? – zapytał z wahaniem.

– Nie – odparła. Głucho, ale też nieco ostrzej. Z rosnącym zniecierpliwieniem, niemalże do reszty zaburzającym urok tej sielankowej chwili, która ich połączyła i która należała tylko do nich dwojga, nieważne, ile paralelnych sielankowych chwil działałoby się dosłownie tuż obok albo tysiące kilometrów dalej.

Ta jedna należała tylko do nich.

– Nie – powtórzyła łagodniej, aby chwila nie uleciała niczym dźwięki gitarowej melodii. Aby jednak z nimi została. – Teraz nie boli – doprecyzowała.

Bo blizna czasem bolała – ale nie cały czas.

– To dobrze – odparł Damian, już też całkiem łagodnie, a potem znów pocałował ją w usta.

Bo i on bardzo nie chciał, aby ta chwila uleciała – nikt by tego na ich miejscu nie chciał. Była bardzo piękna, a piękno powinno przecież trwać.

Całowali się coraz dłużej i dłużej, przerwy między pocałunkami stawały się krótsze. Jakby nagle oddychanie przestało być konieczne, a liczyło się tylko to, aby wycisnąć z tej chwili najśodsze soki.

Słodkie jak tamten pachnący malinowy sok, który późnym latem ciocia Nela wlewała do świeżo wyparzonych, wysokich szklanych butelek. Alicja kochała na to patrzeć – kiedy purpurowy płyn zaczynał wypełniać wnętrze szklanego naczynia. Stopniowo oblepiał jego ścianki, zabarwiając je na krwistomalinowy kolor – taki, który bardzo trudno sprać, kiedy przez przypadek wyleje się go trochę na obrus.

A o to łatwo, gdy ktoś zbyt łapczywie próbuje się go napić. Pośpiesznie dodaje go jesienią do herbaty, aby jak najszybciej się rozgrzać i znów na moment poczuć malinowe lato.

Oni jednak nie chcieli czekać do jesieni – ryzykując, że wyleje się na obrus albo rozpierzchnie po całej podłodze. Wpadnie pod dywan, popłynie za szczelinę w listwie. Nie chcieli też częstować tą chwilą gości przy herbachie – chcieli mieć ją całą dla siebie, wypić jej soki do dna, nasączyć nią wszystkie komórki i zachować jej jak najwięcej na potem.

Na jesień, zimę i te wszystkie mokre, zgniłozielone poranki.

Ostre sosnowe igły wbijały się w nagą skórę Alicji, ona jednak nic z tego nie czuła, bo malinowa fala zalewała ją całą i na nic więcej nie było już miejsca. Nie było miejsca dla bólu ręki, dla niewygody i dyskomfortu leżenia na zimnej, wilgotnej glebie i kłujących igłach.

Nie widziała nawet stalowosrebrzystego księżyca – niemalże już idealnie okrągłego i roześmianego. Przypominał dziś wielką plażową piłkę i śmiał się sam do siebie, podskakując między chmurami.

Rozciągali tę chwilę do granic możliwości: wyjmowali z niej włókno po włóknie, aby nie przeoczyć choćby najmniejszej niteczki. Wygnietli ją do granic możliwości – do granic światła, za którymi czaił się mrok i robiło się coraz chłodniej i chłodniej. Aż było zupełnie zimno, więc otrzepali lepkie od potu ciała z przyklejonych do nich sosnowych igieł, cząstek mchu i śladów czarnej niczym smoła gleby, a potem ubrali się i skierowali w stronę namiotów.

Dopiero wtedy Alicja zerknęła na niebo i zobaczyła ogromną księżycową piłkę – niemalże już idealnie okrągłą. Która nie zawieruszyła się nigdzie pośród chmur ani nie opadła na korony leśnych, falujących od lekkiego wiatru drzew, lecz jak wryta stanęła ponad horyzontem – może oszołomiona tym wszystkim, co ujrzała na dole. Z góry, w stalowosrebrzystej księżycowej poświacie, to Wszystko było lepiej widać – a może tylko

stamtąd w ogóle było widoczne. To Wszystko – piękno, które trwało i trwało, niczego z siebie nie zachowując na potem: na jesień, do herbaty, na przybycie gości. I niczego nie szukając, jakby pogrążony w leśnej ciszy świat odnalazł wszystkie cząstki siebie rozrzucone w kosmosie.

Nagi świat, bez zgniłozielonego mundurka.

Kiedy stała tak dłuższą chwilę, patrząc na niego i oddychając chłodnym, nocnym powietrzem, na bardzo krótki moment udało jej się to uchwycić. To Wszystko, to niesamowite wrażenie. Przyszpilić je wzrokiem – zdjąć, tak jak zdejmuje się krajobrazy aparatem, aby móc zachować je na potem.

Wrażenie, a właściwie pewność, że świat jest – że musi być nieśmiertelny. A nieśmiertelność to, jak się zdaje, pozytywna cecha.

Jeżeli oczywiście lubi się życie.

* * *

Kiedy wyszła z namiotu, światło aż uderzało swoją intensywnością, choć pora nadal była wczesna. Alicja zmrużyła, a potem przetarła oczy. Leśne poszycie pełne było drobnych jasnofioletowych kwiatków, których wcześniej nie zauważyła. „Ciekawe, czy to możliwe, aby zakwitły w ciągu jednej nocy”, zastanowiła się.

Schyliła się i zajrzała do ich maleńkich kielichów, z których sączył się przyjemnie słodki zapach. Słodki, ale zupełnie inny niż gorąca woń ogrodowych malin. Ten zapach był chłodno słodki – leśny i orzeźwiający.

Nie знаła ich nazwy, co dla przyjemnego zapachu nie miało jakiegokolwiek znaczenia – ale jakoś jej przeszkadzało. Że nie wie, jak mają na imię.

Bo ogólnie to chyba jest dość ważne – jak ma się na imię.

Ciekawe, czy rosną gdzieś jeszcze jakieś kwiaty, które nie mają nazwy. Których nie ma w Wikipedii ani w *Wielkim atlasie roślin*, stojącym na drugiej półce od dołu w dużym pokoju w domku cioci Neli. To byłoby ekscytujące – gdyby istniały, jeszcze przez nikogo nieodkryte. Nienazwane. Gdyby jakimś cudem akurat te tutaj, wyglądające zza mchu i trawy jasnofioletowe punkciki, trochę podobne do dzwonków, ale inne – gdyby one nie miały jeszcze swojej nazwy... Gdyby nikt przed nią jeszcze ich nie odkrył, wtedy mogłaby sama wymyślić dla nich imię. To byłoby cudowne – móc zdecydować, jak będą się nazywać.

Tak jak w przypadku dzieci: to chyba najwspanialsza rzecz w ich posiadaniu. Że można nadawać im imiona.

Serafinki, zdecydowała. W myślach, a potem na głos – żeby dodatkowo to przypieczętować.

– Coś mówiłaś? – zapytał Damian, który znienacka pojawił się za jej plecami. I dał jej buziaka na dzień dobry. Mokrego buziaka w piegowaty policzek.

– Nic takiego. Zobacz, jakie ładne kwiatki! – Wskazała na ciemnozieloną trawę.

Bardzo chciała, ale bała się powiedzieć: „Zobacz, jakie ładne serafinki!”. Bała się, że Damian powie, że to wcale nie są serafinki, że się tak nie nazywają.

Bała się, że powie, że serafinki nie istnieją – tak jak syreny czy choćby zwykłe świecące ryby.

Mało kto je widział, a przecież na pewno istnieją. To akurat wiedziała z materiałów dokumentalnych na temat mórz i oceanów – bo przeczytała całe mnóstwo książek i artykułów, a także obejrzała chyba większość filmów na ten temat. Wystarczyło, aby chociaż część fabuły filmu osadzona była pod wodą, a Alicja musiała go obejrzeć. A potem jeszcze raz i wiele kolejnych razy. Jak najczęściej wracała do filmów

o życiu pod wodą – albo raczej jak najrzadziej wracała do całej reszty rzeczywistości.

– Śliczne! To są chyba dzwonki, prawda? – zapytał, lecz na szczęście nie czekał na odpowiedź. – Idziemy pomóc przy śniadaniu, zanim zuchy wstaną?

– Pewnie! – zgodziła się i ruszyli w stronę obozowej kuchni. – Damian, tylko... – zreflektowała się po chwili.

Nie chciała, ale musiała mu powiedzieć. Jakoś wcześniej nie było okazji.

– Tak? – Zatrzymał się i spojrzał na nią, lekko zaniepokojony.

– Ja dziś po południu wyjeżdżam.

– No co ty, Ala! Przecież my dopiero... – Wziął ją za rękę, chcąc pewnie przywołać chwilę, która w nocy skleїła ich ciała tamtą gorącą malinową słodyczą.

Piękną chwilę, która jednak minęła – Alicja była tego pewna, tak jak istnienia biofluorescencyjnych ryb. Patrzyła na Damiana w pełnym słońcu chłodnego poranka i była tego całkowicie pewna. O poranku wszystko wygląda inaczej – zwłaszcza pierwszy kochanek.

– Dlaczego...? – spytał, wydając się szczerze zasmucony. Wstrząśnięty, jakby po raz kolejny zobaczył jej bliznę. Tę samą albo jakąś inną.

Mógł zresztą zobaczyć jakąś inną, bo tych blizn na pewno było więcej. Niewidzialnych, ale nie mniej przerażających.

– Jadę do Komorowa na osiemnastkę kuzynki, Dagny – powiedziała.

– Ale... zobaczymy się jakoś? Jak wrócisz do Łodzi, a ja wrócę z obozu? To jeszcze tylko trzy dni. Do kiedy u niej zostajesz? – pytał, coraz bardziej zasmucony.

– Cały tydzień – odpowiedziała na jedno z pytań, co do którego nie musiała kłamać. Starła się mówić miękko, lecz

jej głos był jakby zachrypnięty. Chciałaby go pocieszyć, coś mu obiecać... ale nie wiedziała co.

Bo nie miała co z nim dalej zrobić – był bardzo miły i wspaniale całował, ale Alicja nie dysponowała żadną szufladą, do której mogłaby go włożyć. Wszystkie były albo przepchane, albo puste – przeraźliwie czarne i zięjące. A do tych czarnych i zięjących nie pasował ktoś, kto był miły i dobrze całował.

Może w ogóle nikt tam nie pasował, co było smutne i przerażające. I naprawdę nic nie mogła na to poradzić – wiedziała tylko, że tamta chwila minęła. Ognisko zgasło, a w pełnym słońcu świat wyglądał zupełnie inaczej.

– Dagna to twoja najlepsza przyjaciółka? – zapytał nie wiadomo po co.

Może chciał przekonać sam siebie, że Alicja naprawdę musi jechać – a nie, że tego chce. Bo dla najlepszych przyjaciółek czasem trzeba przecież zrobić coś, na co nie ma się akurat ochoty.

Alicja skrzywiła się na chwilę, bo słowo „przyjaciółka” nieprzyjemnie zazgrzytało w jej umyśle. Czy tam sercu – dokądkolwiek te słowa wpadają. Słowo „przyjaciółka” na pewno dokądś wpadło, do tej czarnej i zięjącej szuflady. Do Czarnej Otchłani, do której dawno nikt nie próbował sięgać.

Czarna Otchłań to nie jest dobre miejsce, aby po coś sięgać.

– Tak... – Zawahała się. – Dagna to moja najbliższa przyjaciółka – zaryzykowała.

Zabrzmiało to trochę głucho i smutno, jakby ktoś nagle, podczas swobodnej, niezobowiązującej konwersacji, wywołał postać tragicznie zmarłego. Ale jednak możliwe okazało się, aby znów użyć tego słowa – znów, po bardzo wielu latach.

A cokolwiek powiedzieć o Dagnie – roztrzepanej, hałaśliwej, zbuntowanej – to jednak na pewno była kimś bliskim.

Kimś oswojonym dzięki tym wszystkim wspólnym chwilom, które spędziły razem w dzieciństwie.

– Dasz sobie radę z transportem? – spytał zatroskany. – Jak jedziesz?

– Wsiadam w autobus do Krakowa, a stamtąd złapię pociąg do Warszawy. Dagna zgarnie mnie z Centralnej i pojedziemy do Komorowa.

Choć pewnie nie od razu: znając Dagnę, na pewno będzie chciała pochodzić po Starówce, wejść do jakiejś kawiarni albo pubu. Coś zobaczyć, poczuć, kogoś poznać – żeby potem było co omawiać przed snem, kiedy będą już w domu, w piżamach.

– Naprawdę szkoda, że wyjeżdżasz – powiedział smutno Damian i znów dał jej mokrego całusa, lecz tym razem w usta. Podjął kolejną, jeszcze bardziej usilną próbę ożywienia tego, co parę godzin temu samo z siebie płynęło w ich krwi. – Chodźmy ogarniać to śniadanie! – zaproponował znowu i jakby nigdy nic wziął Alicję za rękę.

Lewą, nad którą kończyła się blizna – ale teraz nie było jej widać.

Mogli więc udawać, że jej nie ma. Tej ani tych innych, niewidzialnych.



*Sięgnij po
więcej!*



 www.wydawnictwokobiece.pl

 [kobiece](#)

 [wydawnictwo.kobiece](#)